

# Narożne okno



E. T. A. HOFFMANN

POWIEŚCI FANTASTYCZNE

## Naróżne okno

TŁUM. ANTONI LANGE

Memu biednemu kuzynowi przypadł taki sam los, jaki był udziałem znanego Scarrona<sup>1</sup>. Jak ten, tak i mój krewny, skutkiem upartej choroby, stracił zupełnie możność używania nóg i zmuszony był z łóżka do lektyki z poduszkami i z lektyki do łóżka przenosić się przy pomocy tęgiej kuli i sprężystego ramienia zręczliwego inwalidy, który z dobrej woli służy jako dozorca chorych. Ale jeszcze jedno podobieństwo ma kuzyn mój z owym Francuzem, którego, mimo niewielkiego dorobku, wślawił w literaturze francuskiej pewien osobliwy rodzaj humoru, odmienny od dowcipu francuskiego. Podobnie jak Scarron, pisuje mój kuzyn; jak on, posiada szczególną, żywą wesołość i na własny sposób wypowiada dziwaczne żarty. Jednak dla chwały pisarza niemieckiego należy zaznaczyć, że nigdy nie uważał za konieczne swoich małych, pikantnych miseczek przyprawiać *asa foetida*<sup>2</sup>, aby drażnić podniebienie czytelnika niemieckiego, który podobnej rzeczy by nie zniósł. Dostateczną mu była szlachetna przyprawa, która podniecając, zarazem pokrzepia. Publiczność chętnie czyta jego pisma; mają być dobre i zabawne; nie znam się na tym. Mnie osobiście bawiła rozmowa z moim kuzynem i przyjemniej mi było z nim gawędzić, niż go czytać. Jednak ten niezwalczony pociąg do pisania czarne nieszczęście sprowadził na mego biednego kuzyna; najcięższa choroba nie zmogła kołowacizny jego fantazji, która w nim wewnątrz wciąż pracowała, tworząc wciąż a wciąż rzeczy nowe. Tak się stało, że opowiadał mi nieustannie rozmaite, nader zabawne historie, które, pomimo niezmiernych cierpień fizycznych — ciągle mu przychodziły do głowy. Ale drogę, którą miała przepłynąć myśl, aby się uzmysłowić na papierze, zamknął zły demon choroby. Kiedy mój kuzyn chciał coś pisać, nie tylko palce mu odmawiały usługi, ale i sama myśl rozpraszała się i ulatniała. Z tego powodu mój kuzyn popadł w najczarniejszą melancholię.

— Kuzynie, koniec mój nadchodzi. Jestem jak ów stary szaleństwem złamany malarz, który całymi dniami siedział przed czystym płótnem, w ramach umocowanym i wobec wszystkich gości, którzy go odwiedzali, wysławiał niezwykle piękności wspaniałego obrazu, który tylko co wykończył. Zaniechałem czynnego twórczego życia, które, zewnętrzna postać przybrawszy, mnie samego opuściło, radując się światem. Duch mój ciągnie do swego własnego zamknięcia.

Od tego czasu mój kuzyn nie pokazywał się nigdy ani mnie, ani komukolwiek. Stary, mrukliwy inwalida wyrzucał nas za drzwi, zrzędząc i mamrocząc jak złośliwy brytan.

Trzeba zaznaczyć, że mój kuzyn mieszka dość wysoko w małych, niskich pokoikach. Jest to obyczaj pisarzy i poetów. Cóż znaczy niska powała<sup>3</sup> izby? Fantazja się unosi i buduje sobie wysokie, radosne sklepienie na błękitnym, promienistym niebie w wyżynach. I podobnie jak ten ciasny dom poety, tak i jego ogród zamknięty między czworgiem ścian, dziesięć stóp szeroki i długi, ma przecie znakomitą wysokość. Nadto mieszkanie mego kuzyna leży w najpiękniejszej części miasta stołecznego, mianowicie na wielkim rynku, otoczonym wspaniałymi budynkami, a na którego środku stoi olbrzymi, genialnie ob-

Choroba

Literat

Choroba

Melancholia

Poeta, Dom

<sup>1</sup>Scarron, Paul (1610–1660) — francuski pisarz, sparaliżowany przez ostatnie 20 lat swojego życia. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*asa foetida* (z łac.) — nazywana czarcim łajnem lub smrodzińcem, przyprawa o intensywnym, charakterystycznym zapachu porównywalnym z zapachem cebuli, który łagodnieje po dodaniu do gotującej się potrawy; tu przen.: skandaliczne wątki w utworze literackim. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*powala* — drewniany strop, sufit. [przypis edytorski]

myślany gmach teatralny. Jest to dom narożny, a z okna narożnego pokoiku jednym spojrzaniem kuzynek mój ogląda panoramę wspaniałego placu.

Okno

Był to właśnie dzień jarmarczny, gdy, przeciskając się przez tłum ludu, wszedłem w ulicę, na której już z pewnej oddali widać narożne okno mego kuzynka. Niemało się zadziwiłem, gdy mi z tego okna zabłysła dobrze znana czerwona czapeczka, którą mój kuzyn zwykł był nosić za swoich dobrych czasów. Bliżej podszedłszy, spostrzegłem, że mój kuzyn włożył też swój państwowy szlafrok warszawski i kurzył tytoń z tureckiej fajki świątecznej. Kłaniałem mu się, chustką powiewałem mu na znak: aż udało mi się zwrócić jego uwagę na siebie; przyjaźnie kiwnął głową. Co za nadzieja!

Z szybkością błyskawicy biegłem po schodach. Inwalida drzwi mi otworzył; twarz jego zwykle pomarszczona i sfaldowana, podobna do przemoczonej, starej rękawiczki; teraz, dzięki wpływowi jakiegoś promienia słonecznego, wygładziła się do pozorów znośnego pyska. Objął mi, że pan siedzi w fotelu i że można z nim rozmawiać. Pokój był czysto wymyty i sprzątnięty, a nad kotarą łóżka umocowany był arkusz papieru, na którym wielkimi literami wypisano:

*Et si male nunc, non olim sic erit*<sup>4</sup>.

Wszystko świadczyło o powrocie nadziei, o nowo przebudzonej sile życiowej.

— Ha — zawołał kuzyn przy moim wejściu — na koniec się pokazujesz u mnie. Czy wiesz, że prawdziwie tęskniłem za tobą. Bo, chociaż jak kat ciągle się wypytujesz o moje nieśmiertelne dzieła, to jednak ja cię bardzo lubię, bo jesteś pełny życia i choćbyś mnie nie bawił, jesteś zawsze bardzo zabawny.

Czułem, że przy tym komplementem mego kuzyna, krew mi uderza do głowy.

— Sądziś — mówił dalej kuzyn, nie zwracając uwagi na mój ruch — sądziś zapewne, że jestem zupełnie zdrowy lub całkowicie z niebezpieczeństwa wyzwolony. Co do ciała — to nie, wcale nie. Nogi moje — to zdradliwe wasale<sup>5</sup>, co to sprzeniewierzyły się głowie swego pana, i z pozostałą resztą prawdziwego trupa nic już nie chcą mieć do czynienia. To znaczy, że nie mogę się ruszyć z miejsca i toczę się na tym krześle na kółkach tu i tam bardzo wesoło, przy czym mój stary inwalida gwizdże melodyjne marsze ze swoich lat wojennych. Ale to okno jest moją największą pociechą; tu mi weszło na nowo pstrokate życie i czuję się wielce zadowolony na widok tego nigdy nieprzerwanego ruchu. Pójdź, kuzynie, spójrz przez okno.

Choroba, Kaleka

Okno

Siadłem naprzeciw kuzyna na małym taborecie, który jeszcze się mieścił w granicach okna. Widok istotnie był szczególny i uderzający. Cały rynek zdawał się jedną, gęsto zbitą masą ludu, tak, że można by myśleć, iż rzucone w nią jabłko nie mogłoby nigdy dosięgnąć ziemi. Najrozmaitsze barwy jaśniały w promieniach słońca — i nawet w małych plamach; na mnie robiło to wrażenie wielkiego, poruszanego od wiatru pola tulipanów i koniec końców doszedłem do wniosku, że jest to widok bardzo ładny, ale po dłuższym czasie męczący, a który nawet osobom wrażliwym może sprawić zawrót głowy, bliski jakimś przykrym bredzeniom sennym; dlatego rozpytywałem się o przyjemność, jaką narożne okno sprawia kuzynkowi i wyraziłem mu to zupełnie szczerze. Ale ten założył ręce na głowie i oto rozwinęła się między nami taka rozmowa:

Tłum

ON:

Kuzynie, widzę, że nawet najmniejsza iskra talentu pisarskiego nie błyska w tobie. Brak ci pierwszego wymagania, abys kiedykolwiek ruszył śladem twego beznogiego, kulawego kuzyna: mianowicie oka, które istotnie widzi. Ten rynek nie przedstawia ci nic więcej nad widok jakiegoś pstrego, bezsensownego zgiefku tłumów, poruszających się w działaniu bez treści? Hej, hej, przyjacielu! Dla mnie rozwija się tu najwzschodniej-  
niejsze widowisko życia mieszczańskiego, i mój duch, czujny Callot<sup>6</sup> lub nowoczesny Chodowiecki<sup>7</sup>, zaznacza sobie wciąż szkic po szkicu o zarysach dosyć śmiałych. Kuzynie, chcę widzieć, czy ci przynajmniej mógłbym wyłożyć pierwsze zasady sztuki. Spójrz oto

Oko, Literat

<sup>4</sup>*Et si male nunc, non olim sic erit* (łac.) — jeżeli teraz źle, nie zawsze tak ma być; fragm. z Horacego. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*wasal* (łac. *vassus*: sługa; z celt. *guas*) — w średniowieczu człowiek wolny oddający się w opiekę seniorowi, otrzymujący od niego lenno i zobowiązany wobec seniora do posłuszeństwa i świadczenia służby zbrojnej; tu przen.: poddany. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Callot, Jacques* (1592–1635) — francuski grafik i rysownik. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Chodowiecki, Daniel* (1726–1801) — polsko-niemiecki malarz, miniaturzysta i rysownik. [przypis edytorski]

wprost przed siebie na ulicę; tu masz moją lornetkę: uważaj na tę szczególnie ubraną osobę z wielkim koszem na ramieniu, która pogrążona w głębokiej rozmowie ze szcoterem, zdaje się wykonywać zupełnie inne *domestica*<sup>8</sup> niż te, co dotyczą przeżywania<sup>9</sup> ciała.

JA:

Widzę ją. Ma jaskrawą żółtą chustkę, na sposób francuski, jak turban, obwiniętą dokoła głowy, a jej twarz, jako też cała jej istota, jawnie świadczy o jej narodowości francuskiej. Zapewne jaka pozostałość po ostatniej wojnie<sup>10</sup>, która tu na suchym lądzie ocalała.

ON:

Nieźle powiedziane. Założyłbym się, że jej mąż zawdzięcza jakiejś gałęzi rękodzielnictwa francuskiego wcale piękny dochód, tak że jego żona może obficie napęlić swój koszyk dobrymi rzeczami. Teraz rzuca się ona w zgiełk. Uważaj, kuzynie, czy możesz śledzić jej bieg w najrozmaitszych kierunkach, nie tracąc jej z oczu; żółta chustka świeci wciąż przed twoimi oczami.

JA:

O jakże ten żółty gorejący punkt przecina masę ludzką! Teraz już jest blisko kościoła, teraz znów targuje coś koło straganów, teraz — o, do licha! zgubiłem ją — nie, tam na końcu znów się pojawia — tam koło drobiu — chwytą oskubaną gęś — obmacuje ją palcami znawczyni.

ON:

Dobrze, kuzynie. Utkwić wzrok, to kształci wyraźne spostrzeżenie. Ale, zamiast w nudny sposób uczyć się sztuki, której zaledwie można się nauczyć — pozwól mi raczej zwrócić ci uwagę na wszelkiego rodzaju dziwy, które tu dzieją się przed naszymi oczami. Czy widzisz tę kobietę, która sobie tam, poprzez niemały ścisk, mocnymi łokciami miejsce wyrabia?

Gospodyni

JA:

Co za szalona figura! jedwabny kapelusz, kapryśnie bezforemny, według jakiejś zakazanej mody, a na nim wiejące w powietrzu pióra, krótki jedwabny płaszcz, którego barwa powraca do nicości pierwotnej — na tym dość przyzwoity szal — obszycie żółtej perkalowej sukni sięga do kostek, szaroniebieskie pończochy, sznurowane trzewiki. Za nią przyzwoicie ubrana służąca z dwoma koszykami, siatką do ryb, workiem do mąki... Boże, czuwaj nad nami! Jakże ta jedwabna osoba rzuca dokoła siebie wściekle spojrzenia, z jakim szalem pcha się w najgęstszy tłum, jakże się rzuca na wszystko, na jarzyny, owoce, ryby itd.; jakże wszystko obziera<sup>11</sup>, obmacuje, o wszystko się targuje, a nie kupuje nic...

Strój

ON:

Powiem ci, co to za osoba, której nie brak na żadnym jarmarku, szalona gospodyni. Tak mi się zdaje, że to musi być córka jakiegoś zamożnego łyka<sup>12</sup>, może jakiego bogatego mydlarza, a której rękę *cum annexis*<sup>13</sup> zdobył sobie nie bez wysiłku jakiś tajny sekretarz. Pięknością i wdziękiem nie obdarzyło jej niebo, natomiast uchodziła ona u wszystkich sąsiadów za najgospodarniejszą, najbardziej domową pannę i rzeczywiście jest ona tak gospodarna, i co dnia gospodaruje od rana do wieczora w tak okropny sposób, że biedny tajny sekretarz już mało co zmysłów nie postradał i chciałby uciekać tam, gdzie pieprz

<sup>8</sup>*domestica* (z łac. *domesticus*: domowy) — sprawy domowe, związane z gospodarstwem. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*przeżywanie* — tu zapewne: żywienie oraz wykonywanie wszelkich czynności potrzebnych do przeżycia. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*ostatnia wojna* — ponieważ utwór powstał w 1822 r. w Berlinie, chodzi tu zapewne o kampanie napoleońskie. W 1806 r. wojska francuskie zajęły Berlin, dążąc dalej na wschód (ten etap wojny został zakończony pokojem w Tylży), a następnie w czasie odwrotu spod Moskwy zostały rozgromione w bitwie pod Lipskiem w 1813 r.; w tym okresie miały miejsce przemarsze sił francuskich oraz migracje towarzyszącej armii ludności cywilnej na terenach należących do Prus. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*obzierać* (daw.) — oglądać. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*łyk* (daw.) — pogard.: mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*cum annexis* (łac.: z dodatkami) — tu żart.: z posagiem. [przypis edytorski]

rośnie. Nieustannie wyciąga się tarabanowo-trombonowy<sup>14</sup> rejestr zakupów, zamówień, kramarszczyzny i wszelkich potrzeb domowych i tak gospodarstwo tajnego sekretarza wygląda jak stary zegar w szafie, którego nakręcona maszyna wiecznie wygrywa jakąś obłąkaną symfonię, co to ją sam diabeł skomponował. Niemal co czwarty dzień targowy towarzyszy jej inna służąca. *Sapientii sat*<sup>15</sup>! Czy widzisz tam — nie, tu! — tę grupę, co się naraz utworzyła, godną istotnie, by ją uwiecznił ołówek Hogartha<sup>16</sup>. Spójrz no tylko, kuzynie, na te trzecie drzwi teatru.

JA:

Para starych bab siedzi na miękkich stołkach, cały ich kram mieści się w niewielkim koszu, jedna ma pstre jaskrawe chusty, tak zwane towary dokuczliwe, obliczone na efekt głupich oczu, druga ma skład szarych i niebieskich pończoch, włóczki itd. Pochyliły się ku sobie, szepcą między sobą coś do ucha, jedna sączy kubeczek kawy; druga zdaje się całkiem porwana przedmiotem rozmowy — zapomniała o sznapsiku<sup>17</sup>, który miała wypić; rzeczywiście, para uderzających fizjonomii<sup>18</sup>! Co za śmiech demoniczny, co za gestykulacja suchymi, kościstymi rękami.

ON:

Tę dwie kobiety siedzą ciągle razem i, nie bacząc na to, że różnaitość ich handlu nie dopuszcza żadnego starcia, żadnej zawiści zarobkowej, to jednak aż do dziś spoglądały one wciąż na siebie nieprzyjaźnie, i, o ile mogły ufać swej wyćwiczonej fizjonomice<sup>19</sup>, rzuciły sobie nawzajem różne przykre wymysły. O, patrzcie, patrz, kuzynie, jak to one coraz bardziej stają się jednym sercem i jedną duszą. Handlarka chust udziela handlarce pończoch swego kubka kawy. Co to może znaczyć? Przed paroma minutami przechodziła tędy młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna, piękna jak dzień, której cała postać i zachowanie świadczyło o dobrych obyczajach i wstydlivych pożądaniami. Dziewczyna znęcona towarem zapatrzyła się w jej kosz. Cała jej dusza była skierowana ku białej chustce z kolorowym brzegiem, której być może bardzo potrzebowała. Targowała o nią, stara zaś używała wszystkich sztuczek przebiegłości kupieckiej, rozciągając szeroko chustkę i w promieniach słońca migając jej ostrymi kolorami. Zgodziły się wreszcie na cenę. Kiedy jednak biedaczka wyjęła z supelka chustki do nosa ubogą swą kasę, gotówki jej nie starczyło na tak wielki wydatek. Z gorączkową, rozpaloną wargą, ze łzami perlącymi się w oczach, oddaliła się dziewczyna tak szybko, jak jeno mogła, gdy stara, śmiejąc się pogardliwie, złożyła chustkę na nowo i rzuciła do kosza. Grzeczna przy tym wymiana słów miała zapewne miejsce. Ale oto drugi diabeł zna małą i potrafi wyłożyć smutną historię zbiegającej rodziny jako skandaliczną kronikę lekkomyślności, a może występku, czym udelektowała się dusza starej oszołomionej straganiarki. Kubkiem kawy wynagrodziła tęgie, grube jak pięść oszczerstwo.

Handel, Plotka, Wróg,  
Przyjaźń

Drwina, Bieda

JA:

Z tego wszystkiego, coś ty tu wykombinował, drogi kuzynie, może nie ma ani słówka prawdy, ale, przypatrując się tym kobietom, wszystko to, dzięki twemu pełnemu życia przedstawieniu rzeczy, wydaje mi się tak prawdopodobnym, że, chcąc nie chcąc, muszę w to wierzyć.

ON:

Zanim się odwrócimy od ściany teatru, spójrzmy jeszcze na tę tłustą, wesołą kobietę z twarzą tryskającą zdrowiem, a która w stoickim spokoju i niewzruszoności, ukrywając ręce pod biały fartuch, siedzi na trzcinowym krześle, ustawivszy bogaty stragan jasno

Handel

<sup>14</sup>*tarabanowo-trombonowy* — w znaczeniu przenośnym określenie utworzone dla wyrażenia nadmiaru, może przez porównanie do zbyt dużego zgłębku instrumentów, których tu nazw użyto; *tarabnan*: bęben wojskowy; *trombon*: puzon. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*sapientii sat* (łac.) — mądrości wystarczy; fragm. z *Persa* Plauta: *dictum sapientii sat est*: mądrości wystarczy to, co powiedziano. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Hogarth, William* (1697–1764) — angielski malarz i grafik. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*sznaps* (z niem. *Schnaps*) — żart.: wódka. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*fizjonomia* (fr. *physionomie*: twarz, wyraz twarzy, cecha znamienne; z gr. *physiognomía*) — wygląd, oblicze, postać czegoś, cechy charakterystyczne; twarz. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*fizjonomika* (z fr. *physionomie*: twarz, wyraz twarzy, cecha znamienne) — umiejętność rozpoznawania właściwości umysłowych i postaw uczuciowych człowieka z wyglądu jego twarzy i całego ciała. [przypis edytorski]

polerowanych łyżek, noży, widelców, naczyń fajansowych, talerzy i waz z porcelany zastarzałej formy, filiżanek do herbaty, dzbanuszków do kawy, towarów pończosznicych i Bóg wie czego jeszcze; a wszystko to porządnie rozłożone na białym obrusie, tak, iż cały jej zapas, zapewne skleiony z małych zbiorów, tworzy dziś prawdziwy *orbis pictus*<sup>20</sup>. Nie czyniąc osobliwej miny, słucha ona gadaniny targujących obojętnie, jakby ją ten cały handel nic nie obchodził, zgadza się, wyciąga jedną rękę spod fartucha, aby od kupującej tylko wziąć pieniądze, przy czym pozwala jej samej zabrać kupiony towar. Jest to spokojna rozsądna kobieta, która potrafi z każdego piasku bicz ukręcić. Cztery tygodnie temu cały jej kram stanowiło pół tuzina bawełnianych pończoch, i tyleż szklanek. Handel jej rośnie z każdym targiem, a ponieważ baba nie przynosi z sobą lepszego krzesła, ręce zaś pod fartuchem chowa tak samo jak przedtem, świadczy to, że posiada równowagę ducha i że powodzenie nie wywołuje w niej pychy i arogancji. Przychodzi mi teraz śmieszna idea do głowy! Wyobrażam sobie w tej chwili malutkiego złośliwego diabełka, co by, jak na owym rysunku Hogartha pod krzesłem żebraczki, ukrył się tu pod zydłem kramarki i zazdrosny o jej szczęście w chytrze potajemny sposób podpiłował nogi stolika. Buch! szkło i porcelana nagle się wali i cały handel przepada. Byłoby to bankructwo w znaczeniu dosłownym tego wyrazu.

JA :

Istotnie, drogi kuzynie! nauczyłeś mnie teraz lepiej patrzeć. Patrząc tu i tam w tę różnobarwną cizbę, w tę falującą gromadę, spostrzegam w różnych punktach młode panny, które w towarzystwie ciemno ubranych kucharek, noszących duże, jasno barwne kosze, krążą po targowisku i robią zakupy różnych przedmiotów domowej potrzeby. Modny ubiór tych panien, całe ich zachowanie wątpić nie pozwala, że są to co najmniej osoby zamożnego stanu mieszczańskiego. Jakże one tu na targ przychodzą?

Pozycja społeczna,  
Gospodyni, Korzyść

ON :

To rzecz łatwa do wyjaśnienia. Od paru lat stało się zwyczajem, że nawet córki wyższych urzędników państwowych bywają na targ wysyłane, aby praktycznie poznać tę część gospodarstwa domowego, która dotyczy zakupu materiałów żywnościowych.

JA :

Bardzo chwalebny w istocie obyczaj, który przy swej użyteczności praktycznej, prowadzi do rozwoju zmysłu gospodarczego.

ON :

Tak sądzisz, kuzynie! Co do mnie, postrzegam tę sprawę wręcz odwrotnie. Jakiż inny cel może mieć to samoistne<sup>21</sup> kupowanie, niżeli przekonać się o dobroci towarów i o rzeczywistych cenach rynku? Własności, wygląd, oznaki dobrej jarzyny, dobrego mięsa itd., zaczynająca gospodyni uczy się łatwo poznawać w inny sposób, a mała oszczędność na tzw. koszykowym, co się i tak zdarza, gdyż towarzysząca pannie kucharka jest bezwarunkowo w tajemnym porozumieniu ze sprzedawcami — nie usuwa tych ujemnych stron, jakie bardzo łatwo ściągnąć musi odwiedzanie targowiska. Nigdy bym za cenę paru fenigów<sup>22</sup> nie wystawiał córki na niebezpieczeństwo, by ją wepchnąć między najgorszy motłoch, by usłyszała jakie plugastwo, lub by musiała przełknąć niespójne słowa jakiejś brutalnej kobiety lub chama. I wreszcie, co dotyczy marzeń pewnych tęskniących do miłości młodzieńców w niebieskich kurtkach na koniu albo w żółtych wełniakach z czarnym kołnierzem pieszo, to rynek złą jest szkołą. Ale patrz, kuzynie! Jakże ci się podoba ta panna, która tam koło pompy idzie w towarzystwie starej kucharki? Weź mą lornetkę, weź mą lornetkę, kuzynie.

JA :

Ach, co za stworzenie, co za wdzięk, co za powaby! ale ona ze wstydem oczy spuszcza, każdy jej krok jest pełny obawy, chwiejny. Bojaźliwie trzyma się towarzyszki, która jej w ścisiku przemocą drogę przebija. Śledzę je dalej. Oto kucharka spokojnie stoi przed koszami z jarzyną — targuje — pociąga małą za rękę, ta zaś z twarzą na wpeł odwróconą

<sup>20</sup>*orbis pictus* (łac.: świat w obrazkach) — elementarz z obrazkami; tu: bogaty zbiór czegoś. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*samoistny* — tu: osobisty, dokonywany osobiście. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*fenig* (z niem. *Pfennig*) — germańska nazwa denara używana od VIII do X w. [przypis edytorski]



szybko, szybko wyciąga pieniądze z woreczka, podaje kucharce, zadowolona, znów idzie dalej. Nie mogę ich stracić z oczu! dzięki temu czerwonemu szalowi... Zdaje się szukają czegoś na próżno... Na koniec, na koniec: tam oto zatrzymały się koło jakiejś kobiety, która w ładnych koszykach wystawia swoje jarzyny — śliczna mała całą swoją uwagę skupiła na najpiękniejszym kalafiorze — panienka sama wybiera główkę i kładzie ją do kosza kucharce — ale ta, bezwstydna — nie bacząc na nic, wyjmuje kalafior ze swego kosza, kładzie go z powrotem do kosza przekupki — i wybiera inny, mocno przy tym kiwając pełną powagi, w wielobarwny czepiec strojną głową i zawstydzona wyrzutami biedną małą, która po raz pierwszy chciała być samodzielna.

ON:

Jakże ty wyobrażasz sobie uczucia tej panienki, której chcą narzucić zmysł gospodarczy, zupełnie niezgodny z jej delikatnym usposobieniem? Znam ja tę piękną małą. Jest to córka pewnego tajnego nadradcy finansowego, natura daleka od wszelkiej przesady, istota pełna prawdziwie kobiecego ducha i obdarzona tym ściśle trafny rozumem i delikatnym taktem, który jest właściwy kobietom tego typu.

ON:

Ho, ho, kuzynie! Nazywam to szczęśliwym spotkaniem. Tu na rogu zjawia się uzupełnienie tego obrazu. Jakże ci się podoba ta panna?

JA:

Ach, co za wdzięczna, smukła postać — młoda — trzpiotowata — szeroko otwartymi oczami w świat zapatrzona, która na niebie widzi wciąż blask słońca, w powietrzu słyszy radosną muzykę, jakże śmiało, jak bez troski przebija się przez gęstą ciżbę. Służąca, która jej z koszem towarzyszy, zdaje się mało co od niej starsza i między nimi panuje, widać, pewna serdeczność. Panienka ma bardzo ładne rzeczy na sobie, szal modny, kapeluszy odpowiedni do ранnego stroju, suknia uszyta według wielce gustownych wzorów. Wszystko ładne i przyzwoite: ale co widzę! panienka nosi białe jedwabne trzewiki. Wyranżerowane pantofelki balowe na targu! W ogóle im bardziej się przyglądam tej pannie, tym bardziej mnie uderza w niej pewna osobliwość, której nie mogę określić słowami. Prawda, bardzo gorliwie czyni swe zakupy, wybiera a wybiera, targuje się a targuje, gada, macha rękami, wszystko z najwyższym natężeniem; mnie się jednak coś tak zdaje, jakoby ona chciała tu coś więcej nabyć niż prowiant gospodarski.

ON:

Brawo, brawo, kuzynie! Wzrok twój zaostrza się jak widzę. Zauważ, mój kochany, że pomimo bardzo modnego ubioru, nie bacząc na trzpiotowatość całej osoby, już te białe jedwabne trzewiki na jarmarku zdradzają tajemnicę, że mała jest z baletu albo w ogóle należy do teatru. Czego ona jeszcze pragnie, może to się da rozwiązać bez trudu — ha, udało się! Patrz no, drogi kuzynie, nieco na prawo w ulicę do góry i powiedz mi, kogóż tam widzisz przed hotelem, gdzie jest dość odludnie.

JA:

Widzę tam wysokiego, smukłego młodzieńca w żółtej, krótko skrojonej kurtce z welniaka z czarnym kołnierzem i stalowymi guzikami. Nosi on małą, czerwoną, srebrem haftowaną czapkę, spod której wylaniają się piękne, czarne, może nieco za obfite włosy. Wyraz bladej, męskiej pięknej twarzy niemało podnosi szczupłą, czarna, modna bródka. Tekę trzyma pod pachą — niewątpliwie student, który zamierzał iść na kolegium<sup>23</sup>; ale nagle w ziemię wrósł i stoi zapatrzony niezmiennie na rynek i zdaje się zapomniał o kolegium i o wszystkim.

ON:

Tak jest, drogi kuzynie. Cały jego duch skierowany jest ku naszej małej komediantce. Chwila nadeszła. Zbliży się nasz student do budy z owocami, gdzie apetycznie zgromadzono najpiękniejsze okazy; i niby to o owoce się pyta, ale takie, których właśnie nie ma. Nie do pomyslenia, aby dobry obiad nie kończył się deserem z owoców; nasza mała komediantka musi więc zakończyć swe zakupy stołowe przy tym straganie owocowym.

Flirt

<sup>23</sup>kolegium (z łac. *collegium*: grupa urzędników równych stopniem, kolegów) — tu: zebranie grupy studentów, zajęcia akademickie. [przypis edytorski]

Okrągłe czerwone jabłuszko wyslizguje się filuternie z małych paluszków, żółty pochyla się i podnosi je, lekki dyg małej wróżki teatralnej; rozwija się pogawędka — wzajemna pomoc i rady przy wyborze jakiejś należycie ciężkiej pomarańczy i tak się utrwała pewnie już przedtem nawiązana znajomość, przy czym naznaczone zostaje miłe *rendez-vous*<sup>24</sup>, które zapewne będzie się powtarzało z różnymi urozmaicheniami.

JA:

Niechaj syn Muz<sup>25</sup> uprawia miłość i wybiera pomarańcze, jak mu się spodoba; mnie to nie bawi, tym bardziej, że oto w rogu frontowej ściany, gdzie stoją handlarki kwiatów, dostrzegam na nowo obraz anioła, przesłódką córkę tajnego radcy.

ON:

Na kwiaty nie spoglądam tu chętnie, drogi kuzynie; ma to swe szczególne powody. Sprzedawczyni, która według prawidła trzyma najpiękniejszy kosz wyszukanych gwoździków, róż i innych rzadkich kwiatów, jest to bardzo piękna, wytworna dziewczyna, która dąży do wyższej kultury ducha; toteż, o ile nie jest zajęta handlem, gorliwie czyta książki, których oprawa wskazuje, że należą do głównej armii estetycznej Kralowskiego, co to aż do najdalszego kąta rezydencji zwycięsko szerzy światło kształcenia duchowego. Czytająca kwiaciarka, to dla pisarza beletrysty<sup>26</sup> widok nieodparcie czarowny. Zdarzyło się, że, dosyć już dawno, gdy mi droga wypadła obok tych kwiatów (i w inne dni również są tu kwiaty na sprzedaż), ujrzawszy tę czytającą *fioraję*<sup>27</sup>, w zdumieniu stanąłem bez ruchu. Siedziała niby w gęstej altanie kwitnących geraniów, na kolanach rozłożyła książkę, głowę oparłszy na rękach. Bohater musiał być właśnie w jakimś oczywistym niebezpieczeństwie albo też jakiś ważny moment akcji musiał się dokonywać; jagody<sup>28</sup> dziewczyny zaczerwieniły się żywiej, wargi jej drżały, zdawała się zupełnie oderwana od otoczenia. Kuzynie, chcę ci wyjątkową słabość pisarską przedstawić bez żadnych względów. Stałem jak wryty wobec tego widoku — dreptałem tu i tam; — co też ta dziewczyna czyta? Myśl ta zajmowała całą moją duszę. Duch próżności autorskiej poruszył się we mnie i lechtał przecuciem, że to jedno z moich dzieł właśnie przeniosło dziewczynę w fantastyczny świat moich marzeń. W końcu nabrałem odwagi, zbliżyłem się i zapytałem o cenę wiązki gwoździków, które leżały w dalszym szeregu. W czasie więc, gdy dziewczyna podniosła się, by mi podać kwiaty, wziąłem rozwartą książkę do ręki i zapytałem: „Co to czytasz, piękne dziecko?” O nieba, istotnie była to moja książka i właśnie \*\*\*. Dziewczyna przyniosła mi kwiaty i zarazem oznaczyła cenę umiarkowaną. Ale cóż mi kwiaty, cóż mi bukiet gwoździków! dziewczyna była dla mnie w tej chwili daleko szacowniejszą publicznością niż cały elegancki świat rezydencji. Podniecony, rozplomieniony najsłodszy poczuć autorskim zapytałem na pozór obojętnie, jak się też dziewczynie książka podoba. „I, drogi panie” — odrzekła tamta — „to bardzo śmieszna książka; z początku — to prawie, że dostajesz zawrotu głowy, ale potem jest ci tak, jakbyś tam siedział w samym środku”.

Ku niemałemu memu zdziwieniu opowiedziała mi dziewczyna treść mojej bajki wcale składnie i wyraziście, tak, iż widziałem, że musiała ją czytać kilkakrotnie; powtórzyła, że to bardzo śmieszna książka, że, czytając, już to śmiała się serdecznie, już to robiło się jej na duszy zupełnie łzawo; poradziła mi też, abym, jeżeli dotąd książki tej nie czytałem, wziął ją po południu u Kralowskiego, gdyż ona zmienia książki po południu. — Tu miało nastąpić uderzenie pioruna. Ze spuszczonej oczami, głosem, który miał być słodczą równą miodowi z Hybli<sup>29</sup>, z błogim uśmiechem przepełnionego szczęściem autora, szeptałem: „Tu, słodki mój aniele, tu stoi autor książki, co ci dała tyle rozkoszy — tu, w żywej osobie przed tobą!” Dziewczyna wytrzeszczyła na mnie szeroko oczy i stała niema z otwartymi ustami. Stanowiło to dla mnie wyraz najwyższego podziwu, jakiegoś radośnego przerażenia, że podniosły geniusz, którego potęga twórcza takie dzieło wyłoniła — zjawił się nagle tuż koło geraniów. Być może, myślałem sobie, gdy dziewczyna stała

<sup>24</sup>*rendez-vous* (fr.) — przestarz.: randka. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Muza* — w mit. gr. bogini opiekunka sztuk pięknych i nauk. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*beletrysta* (z fr. *belles lettres*: literatura piękna) — autor beletrystyki, utworów literatury pięknej, głównie powieści i nowel. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*fioraja* (z wł. *fioraia*) — kwiaciarka. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*jagoda* (daw.) — policzek. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*Hybla* — staroż. miasto gr. na Sycylii (znane są różne nazwy: Hybla Maior, Hybla Magna oraz Megara Hybla, odnoszące się do jednego lub różnych miast). [przypis edytorski]

Książka

Próżność, Twórczość,  
Literat



wciąż z niezmienioną twarzą, być może dziewczyna wierzy w szczęśliwy przypadek, który ją postawił wobec znakomitego autora \*\*\*. Staralem się tedy we wszelki możliwy sposób wykazać jej swą tożsamość z owym autorem, ale ona była jak skamieniała — i z jej ust wymykały się tylko dźwięki: „Hm — tak — to by było — niby —”. — Ale jakże mam ci opisać głęboką pogardę, która mnie uderzyła w tym momencie!? Okazało się, że dziewczyna nigdy nie pomyślała o tym, że książki, które czyta, musiały wprzód być napisane. Pojęcie pisarza, poety było jej zupełnie obce — i sądzę rzeczywiście, że przy bliższym badaniu, wyszłaby na jaw jej pobożna, dziecinna wiara, że za sprawą miłego Boga książki rosną jak grzyby.

Pogarda

Zupełnie po cichu pytałem się jeszcze raz o cenę gwoździaków. Tymczasem zupełnie inna, ciemna idea o fabrykacji książek musiała się urodzić w dziewczynie; bo gdym wypłacał pieniądze, pytała mnie naiwnie i prostodusznie, czy to ja robię wszystkie książki u pana Kralowskiego.

JA:

Kuzynie miły, nazywam to ukaraną próżnością autorską; przecież w czasie gdyś mi opowiadał swoją tragiczną historię, ja mimo to nie odwracałem wzroku od swej ukochanej. Przy kwiatach dopiero utracił dumny demon kuchni całą swobodę. Markotna kuchmistrzyni postawiła ciężki kosz na ziemi i oddała się w całości nieopisanej rozkoszy pogawędzenia z trzema przyjaciółkami, już to uderzając pulchne ręce o siebie, już to biorąc się za boki — stosownie do tego, czego wymagały retoryczne figury jej opowieści, a mowa jej była, wbrew słowom Ewangelii, daleko więcej, niż: tak, tak i nie, nie. Spójrz no, jaki prześliczny bukiet kwiatów wybrał sobie ten czarowny anioł i każe go nieść za sobą tęgiemu parobkowi. Jak to? Nie, to mi się niezupełnie podoba, że idąc skubie sobie ta panna wiśnie z koszyczka: jakże się zaprzyjaźni z owocami chustka batystowa, która się w nim prawdopodobnie znajduje.

ON:

Młodociany apetyt chwilowy nie baczy na plamy wiśniowe, przeciw czemu ma ona sól szczawikową i inne pewne środki domowe. I jest to prawdziwie dziecięcy brak uprzedzeń, że mała tylko w utrapieniu niemiłego targu pozwala sobie zażywać tej na nowo odzyskanej swobody.

Ale od dłuższego już czasu uderzył mnie ten tam człowiek, jako nierozwiązana zagadka! Patrz, ten, co tam stoi koło pompy przy wozie, na którym baba wiejska z dużej beczki rozdaje tanie powidła śliwkowe. Przede wszystkim, kochany kuzynie, podziwiam ruchliwość kobiety, która zbrojna, długą drewnianą łyżką naprzód załatwia duże zakupy po ćwierć funta, po pół funta, po funcie, a potem łasuchom pożądanym, co wystawiają papierek, a pod nim nieraz czapkę barankową — z błyskawiczną szybkością rzuca wymaganą porcję za trojaka! Ci natychmiast zdrowo łykają powidła jako sutą przekąskę poranną — „kawior dla ludu!” Przy okazji podziału powideł, za pomocą wymijającej się łyżki, przypominam sobie, że raz w dzieciństwie słyszałem, jak to na pewnym bogatym weselu chłopskim tak wspaniale się zdarzyło, że delikatną grubą skorupą z cynamonu, cukru i gwoździaków pokryta zupa ryżowa była rozlewana warzączwiał<sup>30</sup>. Każdy z dostojnych gości winien był tylko pocziwie gębę otworzyć, aby otrzymać należną porcję — i tak szło wszystko doskonale, jak w krainie pieczonych gołąbków. Ale, kuzynie, czyś uchwycił wzrokiem tego człowieka?

Jedzenie

JA:

Jużci. Cóż to za upiór ta szalona, awanturyczna postać? Co najmniej sześć stóp wysoki, zeschły od wiatrów mężczyzna, który nadto przy zgiętym grzbiecie trzyma się prosto jak świeca. Pod małym, trójkątnym, zgniecionym kapelusikiem sterczy z tyłu kokarda harbajtla<sup>31</sup>, który się potem szeroko po grzbiecie uwija. Stary, skrojony według dawno przestarzałej mody surdut — od góry do dołu na guziki spięty — przylega ściśle do ciała, nie robiąc ani jednej fałdy i już wtedy, gdy przechodził koło wozu, mogłem zauważyć,

Strój

<sup>30</sup>warzączew — dawna duża łyżka kuchenna, zwykle drewniana. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>harbajtel (z niem. *Haarbeutel*) — pęk włosów z tyłu peruki zebranych w warkocz, kucyk lub zawiązanych ozdobną siatką; w XVII i XVIII wieku w Europie peruki stanowiły nieodzowny element modnego stroju obu płci, wyszły z powszechnego użycia na początku wieku XIX. [przypis edytorski]

że ma on czarne spodnie, czarne pończochy i potężne cynowe sprzączki na trzewikach. Co też on może mieć w tej czworokątnej skrzynce, którą tak gorliwie trzyma pod lewym ramieniem, a która bardzo przypomina kramik wędrownego Węgra?

ON:

Zaraz się o tym dowiesz, tylko patrz z uwagą.

JA:

Otwiera pokrywkę skrzynki — słońce się w niej przegląda, są to promienne odbicia — skrzynka jest blachą pokryta — babie ze śliwkami składa najpokorniejszy ukłon, zdejmując z głowy kapelusik. Cóż to za osobliwa, pełna wyrazu twarz! cienkie, zamknięte wargi, nos jastrzębi, wielkie czarne oczy, mocne brwi, wysokie czoło, czarny włos, tupet<sup>32</sup> ufrызowany w kształt serca, małe sztywne loki koło uszu. Podaje skrzynkę babie wiejskiej na wozie; ta zaś bez pytania powidłami ją napelnia i przyjaźnie chyląc głowę, oddaje z powrotem. Po raz drugi się ukloniwszy, człowiek się oddala, kieruje się ku bezcze śledzi — podaje handlarce jedną przegródkę swej skrzynki, kładzie w nią parę nabytych rybek solonych, znów przegródkę do skrzynki składa. Trzecia przegródka, jak widzę, przeznaczona jest na pietruszkę i inne korzenie oraz przyprawy. Teraz przecina rynek w rozmaitych kierunkach powolnym, pełnym niezmiernej powagi krokiem, aż go zatrzymał widok rozłożonego na stole, oskubanego drobiu. Jak wszędzie tak i tu, zanim targować zacznie, głęboko się kłania — mówi długo i wiele z kobietą, która go ze szczególnie przyjazną miną wysłuchuje — ostrożnie kładzie skrzynkę na ziemi — i bierze dwie kaczki, które nader wygodnie wtrąca w szeroką kieszeń swego surduta. — Boże, za nimi idzie gęś — na indyka spogląda tylko wzrokiem pełnym czułości — nie może jednak odmówić sobie rozkoszy, by go miłośnie nie pomacać wskazującym i wielkim palcem; szybko podnosi skrzynkę, niezwykle uprzejmie kłania się handlarce — i gwałtownie się odrywa od kuszących przedmiotów swej żądz; stąd — płynie właśnie ku budom rybaczek. Czy ten człowiek jest kucharzem, co ma ucztę zgotować? Kupuje oto jeszcze ćwiartkę cielęciny, którą jeszcze wysypuje do jednej ze swych olbrzymich kieszeni. Teraz zakupy już ukończył. Idzie w ulicę św. Karoliny, z tak osobliwym zachowaniem, jakby tu przybył z jakiejś dalekiej obcej ziemi.

Grzeczność

Jedzenie

ON:

Dość ja sobie nałamałem głowy nad tajemnicą tej egzotycznej figury. Jakże, kuzynie, myślisz o mojej hipotezie? Człowiek ten to nauczyciel rysunków, który żywot przepędził, a może jeszcze pędzi w średnich zakładach szkolnych. Za pomocą różnych zręcznych interesów zarobił dużo pieniędzy; jest skąpy, nieufny, cynik aż do ckliwości, stary kawaler; jednemu tylko bogu składa ofiary — brzuchowi; jedyną jego rozkoszą jest dobrze jeść, rozumie się samemu w swoim pokoju; żyje zupełnie bez służby, o wszystko troszczy się sam, w dni targowe, jak widziałeś, nabywa swą prowizję na pół tygodnia i w małej kuchni, tuż koło ubogiej izby sam przygotowuje swe potrawy, które potem, ile że kucharz ciągle o podniebieniu swego pana myśli, pożera z chciwym, może nawet zwierzęcym apetytem. Jak zręcznie i celowo przerobił on skrzynkę malarską na kosz targowy — sam widziałeś, drogi kuzynie.

Bogactwo, Skąpiec,  
Chciwość, Jedzenie

JA:

Precz mi z tym wstrętnym człowiekiem.

ON:

Dlaczego wstrętnym? I takie maskary powinny być na świecie, mówi pewien bardzo doświadczony człowiek — i ma rację, ponieważ różnaitość nigdy nie może być dość różnaita. Ale jeżeli ci się ten człowiek tak bardzo nie podoba, to mogę ci jeszcze o tym, kim on jest, co robi i czym się trudni, inną postawić hipotezę. Czterej Francuzi, prawie sami paryżanie: nauczyciel języka francuskiego, nauczyciel fechtunku<sup>33</sup>, nauczyciel tańca i pasztetnik — przybyli w latach młodocianych razem do Berlina, i znaleźli tu obfity zarobek, jak to niegdyś (przy schyłku minionego wieku) — nieraz się zdarzało. Od chwili, gdy ich połączył dyliżans, zawarli najściślejszą przyjaźń, byli jednym sercem i jedną

<sup>32</sup>tupet (z fr. *toupet*) — kosmyk włosów na wierzchu głowy. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>fechtunek (z niem. *fechten*: bić się) — szermierka, sztuka władania bronią białą. [przypis edytorski]

duszą, i co wieczora po ukończeniu pracy spędzali razem czas przy skromnej kolacji i na ożywionej iście po francusku rozmowie. Nogi tancmistrza z wolna zeszywniały, ramiona fechtmistrza<sup>34</sup> z biegiem lat osłabły, nauczyciela języka przewyższyli jego rywale sławą swej najnowszej pronuncjacji<sup>35</sup> paryskiej, a chytre pomysły pasztetnika utraciły renomę wobec młodych łaskotaczy podniebienia, wykształconych w szkole najdziwaczniejszych gastronomów paryskich.

Ale każdy członek wiernie złączonego kwartetu wy dostał się na suchy łąd. Razem się przenieśli do obszernego, przyzwoitego, choć oddalonego mieszkania; zwinęli swe interesy i żyli razem, wierni obyczajom starofrancuskim, wesoło i bez troski, ponieważ oni jedni umieli ująć zgryzot i ciężarów nieszczęśliwych czasów. Każdy ma jakiś osobny interes, który zaspakaja pewne, już to korzystne, już przyjemne wymagania towarzyskie. Tancmistrz i fechtmistrz odwiedzają swych dawnych uczniów, wysłużonych oficerów wyższej rangi, kamerherów<sup>36</sup>, hofmarszałków<sup>37</sup> itd.; mieli oni bowiem najlepszą praktykę i zbierają nowiny dnia, jako materiał do rozmowy, która się nigdy nie może przerwać. Nauczyciel języka rozkopuje składy antykwarskie, aby coraz więcej mieć dzieł francuskich, których język uznała Akademia. Pasztetnik ma staranie o kuchnię; kupuje wszystko na targu sam, jako też sam przygotowuje, przy czym mu dopomaga stary francuski kuchta. Nadto jest u nich pod opieką młody puciołowaty chłopiec, którego im pozostawiła stara, bezzębna Francuzka, niegdyś wytworna guwernantka, a w końcu pomocnica w pralni; czterej przyjaciele zabrali go z „Orphelins Français”<sup>38</sup> i przyjęli do służby. Tam oto idzie ten mały w niebieskim ubraniu, dźwigając na jednym ramieniu kosz marymonckich bułek, na drugim kosz przesypany się sałatą. W ten sposób wstrętne, cyniczne, niemieckiego nauczyciela rysunków przemieniłem ci naraz w miłego Francuza-pasztetnika i wierzę, że jego postać zewnętrzna, jego cała istota doskonale temu odpowiada.

JA:

Pomysł ten przynosi zaszczyt twemu talentowi pisarskiemu. Ale oto od paru chwil osłepiają mi oczy owe dwa białe, wysokie, kołyszące się pióra, które się wydobywają z najgęstszej ciżby narodu. W końcu zjawia się osoba tuż koło pompy, wysoka, smukła kobieta, wcale niebrzydka z postaci; jej płaszcz z ciężkiej różowo-czerwonej materii jedwabnej, jak z igły zdjęty — kapelusz najnowszego fasonu, na nim welon piękny koronkowy — białe rękawiczki jedwabne. Cóż to zmusiło elegancką, zapewne na śniadanie zaproszoną damę, by się przeciskać przez ciżbę na targu? Ale jak to — i ona robi zakupy? Stoi cicho i daje znak starej, brudnej, łachmanami przyodzianej babie, która idzie za nią, żywy obraz nędzy w mętach ludu; nieszczęsna dźwiga w ręku pół złamany kosz i, pół kulejąc, idzie za nią z trudem. Wystrójona dama zatrzymuje się na rogu budynku teatralnego, by osłepić landwerzyscie<sup>39</sup>, który pod ścianą stoi pochylony, dać jałmużnę. Z trudem zdejmuję rękawiczkę z prawej ręki — o nieba! jakaż się ukazuje czerwona od krwi, i przy tym po męsku niemal zbudowana pięść! Nie długo szuka i wybiera: szybko daje do ręki ślepemu sztukę monety, szybko biegnie na sam środek Charlottenstraße i dopiero teraz zaczyna stąpać majestatycznym krokiem promenadowym — i, nie troszcząc się już o swoją towarzyszkę w łachmanach, z Charlottenstraße i wchodzi na Unter den Linden.

Dama

ON:

Baba teraz, dla odpoczynku, postawiła kosz na ziemi — i teraz możesz od jednego rzutu oka przejrzeć cały zakup eleganckiej damy.

JA:

Rzeczywiście zakup dość osobliwy. — Głowa kapusty, dużo ziemniaków, parę jabłek, mały bochenek chleba, parę śledzi zawiniętych w papier, serek owczy, nie najbardziej

Jedzenie

<sup>34</sup>fechtmistrz (z niem. *Fechtmeister*) — nauczyciel szermierki. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>pronuncjacja (z łac. *pronuntiatio*: wypowiedź) — sposób wymawiania, wymowa. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>kamerher (z niem. *Kammerherr*) — szambelan dworu. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>hofmarszałek (z niem. *Hofmarschall*) — marszałek dworu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>orphelins français (fr.) — dosł. sieroty francuskie; jest to zapewne nazwa jakiegoś zakładu dla sierot francuskich. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>landwerzysta (z niem. *Landwehr*: obrona krajowa) — żołnierz landwehry, tj. wojsk terytorialnych dawnych Niemiec i Austro-Węgier. [przypis edytorski]

apetycznej barwy wątróbka jagnięca, bukietik róż, para pantofli, chłopiec do butów. — Co u Boga Ojca?

ON:

Dość już, dość kuzynie o tej różowo-czerwonej! — Uważaj dobrze na tego ślepcę, któremu lekkomyślne dziecię zepsucia dało jałmużnę. Czy istnieje bardziej wzruszający obraz niezasłużonej nędzy ludzkiej oraz pobożnej rezygnacji, oddanej Bogu i losowi? Plecami oparty o ścianę teatru, wyschnięte skostniałe ręce oparł na kij, który postawił o jeden krok przed sobą na chodniku, aby tłum bezmyślny po nogach go nie deptał; trupio błada jego twarz utkwiona wprost przed siebie, czapka landwerska naciśnięta na oczy; i tak bez ruchu stoi on od wczesnego ranka, aż do końca targu — wciąż — w jednym miejscu.

Żebrak

JA:

Zebrze, a przecież dla oślepych żołnierzy istnieje przytułek.

ON:

Jesteś w wielkim błędzie. Ten biedny człowiek jest w służbie u kobiety handlującej jarzynami, która należy do najniższej klasy przekupek, gdyż lepsze zwożą jarzyny w koszach, ułożonych na wózku. Mianowicie ten ślepiec przychodzi co rana obładowany jak zwierzę juczne koszami pełnymi jarzyn, tak że go ciężar niemal do ziemi ugina, on zaś z trudem jeno, chwiejnym idąc krokiem, za pomocą kija utrzymuje się prosto. Wielka, mocna kobieta, u której służy, albo która go może używa tylko do przenoszenia jarzyn na targ — zaledwie trud sobie zadaje, by, gdy go siły niemal opuszczają, ująć go za ramię i dalej zaprowadzić na to miejsce, które biedak teraz zajmuje. Tu baba zdejmuje mu koszyki z pleców, sama je teraz zanosí — i tak go pozostawia: ślepiec stoi, ona zaś nic a nic nie troszczy się o niego, aż do skończenia jarmarku — i całkowicie lub do połowy puste kosze na nowo wkłada mu na barki.

Krzywda, Okrucieństwo,  
Praca, Kaleka

JA:

Rzecz jednak dziwna, że ślepotę rozpoznajemy natychmiast, choćby nawet oczy były niezamknięte i choćby jej nie zdradzał żaden widzialny brak na twarzy. Rzecz, zdaje się na tym polega, że ślepi mają nieustanną dążność do zobaczenia czegoś w nocy, która ich otacza.

ON:

Nie ma dla mnie bardziej wzruszającego widoku, niż kiedy widzę takiego ślepcę, który z podniesioną do góry głową, zdaje się patrzeć w szeroką dal. Zniknęła dla nieszczęśliwca wieczorna zorza żywota, ale jego oko wewnętrzne stara się już ujrzeć wieczne światło, które świeci po tamtej stronie, pełne pociechy, nadziei i błogosławieństwa. — Jednakże jestem zbyt poważny. — Ślepy landwerzysta w każdy dzień targowy dostarcza mi całego skarbu spostrzeżeń. Możesz, drogi kuzynie, zauważyć wobec tego biedaka, jak się żywo wyraża miłosierdzie berlińczyków. Często całe szeregi ludzi przechodzą koło niego, a żaden nie pominie okazji i parę groszy wsunie mu do ręki. Ale ład i sposób, w jaki się rzecz ta odbywa: oto wszystko. Patrz no, drogi kuzynie, w tę stronę jakiś czas i powiedz mi, co spostrzegasz.

Oko, Wzrok, Kaleka

Kaleka, Żołnierz, Pieniądz,  
Miłosierdzie, Bieda

JA:

Właśnie przechodzą trzy, cztery tęgie zdrowe służące; dźwigają ciężkie, nad miarę wszelkim towarem przepelnione kosze, co wrzynają się prawie do krwi w ich krzepkie sino nabrzmiałe ręce; nie brak im powodów do pośpiechu, aby się pozbyć ciężaru, a jednak każda chwilę się zatrzyma, szybko sięga do kosza, i ślepcowi miedziaka wciska w rękę, nawet nie patrząc na niego. Wydatek ten jest konieczny i niepominięty w budzecie dnia jarmarcznego. To prawda! Oto idzie kobieta, której ubiór, której cała osoba wykazuje za-  
możność i wygody życiowe; ta zatrzymuje się przed inwalidą, wyjmując woreczek, i szuka, szuka — a żaden pieniążek nie wydaje się jej dość mały do tego aktu dobroczynności, który zamierza wykonać — woła swej kucharki — zdarzyło się, że jej drobna moneta wyszła, musi więc naprzód zmienić pieniądze u zieleniarek, w końcu znalazł się trojak przeznaczony na jałmużnę, teraz uderza ślepcę w rękę, aby zauważył, że ma coś otrzymać — ten otwarł dłoń — dobroczynna pani wciska mu trojaka i sama rękę mu zamyka,

aby ten wspinały dar nie zginął. — Czemuż to drepce ta mała wdzięczna panienska w tę i tamtą stronę, i zbliża się coraz bardziej ku ślepcowi? W przelocie szybko, tak że nikt tego nie widzi, prócz mnie, co ją mam w środku mej lornety — dała w rękę ślepcowi pieniądz — na pewno nie trojaka. — Ten zażywny, dobrej tuszy pan w ciemnym surducie, który tam tak dobrodusznie nadchodzi — to zapewne bardzo bogaty obywatel. I on zatrzymuje się przed ślepy i rozpoczyna z nim długą rozmowę, przy czym innym ludziom drogę zamyka i przeszkadza im udzielać jałmużny landwerzyscie; w końcu wyciąga potężną, zieloną sakiewkę z kieszeni, otwiera jej węzełek nie bez trudu, i tak ohydnie wśród pieniędzy przebiera, że zdaje mi się, aż tutaj brzęk ich słyszę. *Parturiunt montes*<sup>40</sup>! — Chcę jednak szczerze wierzyć, że szlachetny ten filantrop<sup>41</sup>, wzruszony widokiem nędzy, zrujnował się na fałszywy grosz. Przy tym wszystkim jednak myślę, że ślepy w dni rynkowe stosunkowo niemałe zbiera zyski i dziwi mnie, że przyjmuje wszystko bez najmniejszego znaku wdzięczności; tylko lekki ruch warg, który zdaje się dostrzegam, dowodzi, że stary mówi coś, co może być podziękowaniem, ale i ten ruch dostrzegam tylko od czasu do czasu.

ON:

Masz tu zdecydowany wyraz doskonale zamkniętej rezygnacji. I cóż mu znaczą pieniądze? Korzystać z nich nie może; dopiero w rękach trzeciej osoby, której on bezwarunkowo zaufać musi, pieniądze jego otrzymają wartość. Mogę się mylić, ale mi się zdaje, że baba, której kosze z jarzynami dźwiga stary ślepiec, to wielka jędza, która biedaka źle żywi, mimo iż prawdopodobnie zabiera mu też wszystkie pieniądze, jakie ten otrzymuje od dobrych ludzi. W każdym razie, gdy przynosi kosze z powrotem, zrzędzi i gdera na starego, mniej więcej w stosunku do tego, czy miała targ lepszy czy gorszy. Już trupio błada twarz ślepca, odzież w lachmanach, pozwalają mniemać, że jego położenie jest dość kruche i byłoby to rzeczą energicznego filantropa zbadać ten stosunek.

Krzywdą, Okrucieństwo

Wyzysk

JA:

Przypatrując się jarmarkowi w całości, widzę, że wozy z mąką, nad którymi jak namioty rozpostarte są płótna, układają się w obraz malowniczy, gdyż tworzą punkt oparcia dla oka, tak iż dokoła nich różnobarwny tłum w wyraźne grupy się zbiera.

ON:

O białych wozach mącznych i mąką obsypanych młynarczykach i młynareczkach z różowymi ustami, a każda tu jest *bella molinara*<sup>42</sup> — wiem niemało; wiem też coś o ich przeciwieństwie. Z przykrością nie widuję już tu pewnej rodziny węglarzy, która sprzedawała swój towar właśnie naprzeciw mego okna pod teatrem — a teraz musiała się przenieść na drugą stronę. Rodzina ta składa się z wysokiego silnego mężczyzny o twarzy wyrazistej; jest on porywczy, niemal gwałtowny w ruchach, dokładny obraz węglarza, jak go zazwyczaj przedstawiają w romansach. W istocie, gdybym tego człowieka samotny napotkał w lesie, to by mnie nieco ciarki przeszły, a jego życzliwe usposobienie w jednej chwili byłoby dla mnie najmiłsze na świecie. Obok tego człowieka, jako drugi członek rodziny, w ostrym z nim przeciwieństwie znajduje się ledwie na cztery stopy wysoki<sup>43</sup>, osobliwie wyrosły chłopiec, niezmiernie pocieszny. Wiesz, drogi kuzynie, że są ludzie szczególnie zbudowani: na pierwszy rzut oka zdaje się, że są garbaci, a jednak przy bliższym badaniu, nie można określić, gdzie właściwie ich garb się mieści.

JA:

Przypominam sobie tu naiwne wyrażenie pewnego dowcipnego wojskowego, który z takim dziwem natury był w licznych interesach, a którego obrażała po prostu tajemnica

<sup>40</sup>*parturiunt montes* (łac.) — trudzą się góry; fragm. ze *Sztuki poetyckiej* Horacego: *parturiunt montes, nascetur ridiculus mus* (trudzą się góry, a porodzą śmieszna mysz); tu: o kimś, kogo dokonania są niewspółmiernie małe w stosunku do szumnych zapowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*filantrop* (z gr. *philántropos*: kochający ludzkość) — dobrodziej, wspomagający ubogich. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*bella molinara* (wł.) — piękna młynarka; odwołanie do powstałej w 1790 r. w Wiedniu opery *La Molinara* Giovanniego Paisiella (1740–1816), niezwykle popularnego i prominentnego w swoim czasie wł. kompozytora klasycznych oper gł. komicznych, zatrudnionego m. in. na dworze Katarzyny II w Petersburgu oraz na dworze Napoleona I w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*na cztery stopy wysoki* — tj. mierzący ok. 120 cm wzrostu; *stopa*: jednostka miary długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

jego dziwnej budowy. „Człowiek ten” — mówił — „ma garb, ale gdzie mu ten garb siedzi — o tym wie tylko diabeł”.

ON:

Natura zamierzała z mego węglarczyka utworzyć olbrzymią postać, co najmniej siedmiu stóp wysokości, gdyż o tym świadczą kolosalne ręce i nogi, pewnie największe, jakie w swym życiu widziałem. Ten mały parobczak, odziany krótkim płaszczem o wielkim kołnierzu, mający na głowie dziwną czapkę futrzaną, trwa w bezustannym niepokojeniu bez odpoczynku; w nieprzyjemnej ruchliwości wciąż podryguje i drepce tu i ówdzie, już jest tu — już tam — i stara się grać rolę najmilszego, najbardziej czarującego *primo amoroso*<sup>44</sup> na całym rynku. Nie przepuści żadnej kobiecie, choćby ta niekoniecznie należała do najwyższych kół społecznych: za każdą musi iść parę kroków i zbliżyć się do niej w nadzwyczajnych krygach<sup>45</sup>, drygach, grymasach, słodkościach, zapewne w najlepszym smaku węglarskim. Nieraz tak dalece swą galanterię<sup>46</sup> posuwa, że w rozmowie łagodnie otacza ramieniem biodra dziewczyny i, czapę zdjawszy z głowy, hołdy składa piękności lub ofiaruje jej swoje służby rycerskie. Szczególna rzecz, że dziewczęta nie tylko że na to pozwalają, ale nawet małemu potworowi życzliwie składają ukłony i w ogóle chętnie przyjmują jego galanterię. Mały ten urwis ma niewątpliwie bogaty zasób naturalnego dowcipu, zdecydowany talent do błazentwa oraz siłę jego wykonania: jest to pajac, tyśiąskoczek, wszechurwis na całą okolicę, pod lasem, który zamieszkuje; bez niego żadne chrzciny, wesele, taniec, żadna biesiada obejść się nie może; wszyscy się bawią jego figlami i przez cały rok się z nich śmieją. Reszta rodziny, ile że dzieci oraz parę dziewczek służebnych pozostawiają w domu, składa się tylko jeszcze z dwóch kobiet tego zbudowanych, o ciemnym, markotnym wyglądzie twarzy, do czego się zapewne przyczynia pył węglowy, który utkwiał w ich twarzy. Przywiązanie wielkiego szpica, z którym rodzina dzieli każdy kęs, spożywany w czasie targu, świadczy mi przy tym, że w chacie węglarskiej wszystko idzie uczciwie i patriarchalnie. Mały zresztą ma siłę olbrzymią, przeto rodzina używa go do roznoszenia po domach kundmanom<sup>47</sup> zakupionego węgla. Często widziałem, jak go kobiety objuczały dziesięcioma workami, ułożonymi w wysoką górę na sobie — on zaś podskakiwał z nimi, jakby żadnego ciężaru nie miał na sobie. Z tyłu jego postać wyglądała tak wściekle i awanturniczo, jak tylko można sobie wyobrazić. Naturalnie z szanownej figury małego nie dostrzegłbyś nic więcej, tylko olbrzymi worek węgla, pod którym wyrastały niespodzianie dwie pary nóg. Zdawało się, że to po rynku skacze jakieś bajeczne zwierzę, jakiś rodzaj kangura z klechd<sup>48</sup> ludowych.

Mężczyzna, Błazen

JA:

Patrz no, patrz, kuzynie! tam koło kościoła powstaje hałas. Dwie straganiarki zapewne rozpoczęły gwałtowny spór o fatalne *meum*<sup>49</sup> i *tuum*<sup>50</sup> — i, zdaje się, zwarłszy pięści, na swój sposób ujadają. Tłum się gromadzi — gęste koło ludzi otacza pokłócone baby — głosy podnoszą się coraz mocniej — coraz gwałtowniej poruszają się ręce w powietrzu — coraz bliżej podchodzą do siebie dwie kobiety — wnet ci wnet zacznie się walka na pięści — policja się przedziera przez tłum. Co to? Naraz widzę mnóstwo błyszczących kapeluszy pomiędzy gniewnymi babami — w jednej chwili udaje się kumoszkom złagodzić rozplomienione serca — kłótnia skończona — bez pomocy policji — spokojnie wracają kobiety do swych koszów z jarzynami — tłum, który tylko raz jeden, zapewne w szczególnie drażliwym momencie walki, głośnym krzykiem określił w niej swój współudział — rozchodzi się na wszystkie strony.

Kłótnia

Tłum

ON:

Zauważ, drogi kuzynie, że przez ten długi czas, co my tu siedzimy przy oknie, była to jedyna kłótnia, zapalona na targu i że jedynie sam lud ją uspokoił. Nawet i poważniejszy, groźniejszy spór nieraz w ten sposób lud przytłumia — tak, iż się wszyscy między

<sup>44</sup>*primo amoroso* (wl.) — pierwszy amant. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*kryg* (z niem. *Krieg*: dźwięk) — nienaturalny, przesadnie wykonywany ruch, gest. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*galanteria* (z fr. *galanterie*: grzeczność) — wyszukana grzeczność w obejściu, szczególnie w stosunku do kobiet. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*kundman* (z niem. *Kundmann*) — stały klient, odbiorca. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*klechda* — podanie ludowe, baśń. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*meum* (łac.) — moje. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*tuum* (łac.) — twoje. [przypis edytorski]



skłóconych wciskają, aby ich rozłączyć. Przeszłego targu między straganami rzeźników i owocarzy stał wielki chłop w łachmanach, o zuchwałej dzikiej minie i nagle rozpoczął walkę z chłopcem od rzeźnika; nie bacząc na nic, uderzył parobka straszliwym drągiem, który nosił jako broń na ramieniu. Niewątpliwie tamten runąłby na ziemię, gdyby się nie uchylił i nie poskoczył do swej budy. Tam uzbroił się mocnym toporem rzeźnickim i chciał nim walić w zuchwałego chłopca. Wszystko tak wyglądało, jakby się cała ta sprawa miała zakończyć mordem i śmiercią — i sąd kryminalny o mało co nie miał tu roboty. Owocarki, wszystkie mocne i dobrze odżywiane baby, uważały jednak za swój obowiązek tak przyjemnie i ściśle otoczyć rzeźnickiego chłopca, że ten nie mógł się ruszyć z miejsca; stał między nimi z wysoko podniesionym orężem, jak to się opowiada w patetycznej mowie o surowym Pyrrusie<sup>51</sup>: jako malowany okrutnik, zawieszony pomiędzy siłą a wolą, nie czynił nic.

Tymczasem inne kobiety, szcotołkarze, kopyciarze i in., otoczywszy chłopca, nie dają mu się ruszyć, i umożliwiają w ten sposób policji, aby na czas przyszła i aresztowała tego niecnotę, który mi się wydaje zbiegiem z więzienia.

JA:

Zatem w istocie panuje wśród ludu poczucie koniecznego utrzymania porządku, co na wszystkich zbawczo może oddziaływać.

ON:

Przede wszystkim, drogi kuzynie, obserwacje prowadzone przeze mnie nad rynkiem umocniły mnie w przekonaniu, że lud berliński uległ znacznej przemianie od czasu, gdy zuchwały, dumny wróg zalał kraj i na próżno starał się zgniebić ducha, który rozpostarł wkrótce swe skrzydła z odnowioną siłą, jak zgniecione pióro spiralne. Słowem: lud zyskał na obyczajności zewnętrznej; i jeżeli kiedy w piękny dzień letni po południu wybierzesz się na zabawę ludową i będziesz obserwował towarzystwa, które się udają statkami do Moabit, to zauważysz nawet wśród zwykłych dziewczek służebnych i najemników dziennych — dążenie do pewnej kurtuazji, co jest bardzo pocieszne. W masie odbyło się to samo, co w pojedynczej jednostce; ten, który dużo widział, dużo doświadczył nadzwyczajności — z pomocą *nil admirari*<sup>52</sup> wypolerował swoje zewnętrzne obyczaje. Niegdyś lud berliński był surowy i brutalny; np. jeżeli obcy pytał o jaką ulicę albo o dom, albo o cokolwiek, dostawał odpowiedź grubiańską albo szyderczą — albo też wprost fałszywą informację, która go prowadziła na manowce. Berliński ulicznik, który korzystał z najmniejszego pozorów, z nieco osobliwego ubioru, ze śmiesznego zdarzenia, co się komu przytrafiło, i który je wyzyskiwał bezczelnie, taki ulicznik już nie istnieje. Gdyż owe andrusy<sup>53</sup> — cygarniki pod bramą, które sprzedają „szczerę hamburskie *avec du feu*”<sup>54</sup>, obwiesie, co to kończą życie w Szpandawie<sup>55</sup> albo w Straussbergu<sup>56</sup>, albo, jak to niedawno jeszcze było, na szafocie, nie są bynajmniej tym, czym właściwy ulicznik berliński, który wcale nie był włóczęgą, ale zazwyczaj terminatorem u majstra, i choć to śmiesznie mówić, przy całej bezbożności i zepsuciu, miał zawsze pewien punkt honoru a nie brakło mu też groteskowego dowcipu wrodzonego.

Lud

JA:

Drogi kuzynie, pozwól mi sobie co rychlej opowiedzieć, jak to mnie taki rodzimy dowcip ludowy niedawno wielce zawstydził. Przechodzę koło Bramy Brandenburskiej; dorożkarze z Charlottenburga ścigają mnie, ofiarując mi swe usługi; jeden z nich, co najwyżej szesnasto, siedemnastoletni chłopak, był tak bezczelny, że pociągnął mnie za ramię swoją brudną pięścią. „Proszę bardzo nie dotykać mej ręki” — mówię rozgniewany.

Żart

<sup>51</sup>Pyrrus (319–272 p.n.e.) — król Epiru, wybitny taktik wojenny, pokonał Rzymian w bitwach pod Herakleją (280 p.n.e.) i Auskulum (279 p.n.e.), co okupił wielkimi stratami (stąd przysłowiowe wyrażenie: „pyrrusowe zwycięstwo”). [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*nil admirari* (łac.) — niczemmu się nie dziwić; fragm. z *Listów* Horacego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*andrus* (gw.) — łobuziak. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*avec du feu* (fr.) — z ogniem. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Szpandawa* — właśc. Spandau, dzielnica Berlina, gdzie w XVI w. wzniesiono cytadelę, służącą m. in. jako więzienie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Straussberg* — miasto w Brandenburgii, w Marchii Odrzańskiej; pod koniec XVIII w. powstało tu sanatorium dla wojskowych oraz inwalidów wojennych, w którym następnie otworzono również oddział szkolno-wychowawczy dla zagrożonej społecznie młodzieży. [przypis edytorski]

„No, panie” — odparł wyrostek, nic sobie z tego nie robiąc i wlepiwszy we mnie oczy — „no, panie! czemuż bym miał nie dotykać pańskiej ręki? czy może pan nie jest uczciwym człowiekiem?”

ON:

Ha, ha! ten dowcip, to prawdziwy dowcip, ale wyłonił się z cuchnącej pieczary najgorszego zepsucia. — Dowcipy owocarek berlińskich itd. były zresztą sławne i nawet zaszczyt im się czyni, że się je zowie szekspirowskimi, choć przy bliższym oświeceniu widać, że ich energia i oryginalność polegała przede wszystkim na bezwstydnym zuchwalstwie, przy pomocy którego najohydniejsze brudy podawano jako pikantną potrawę. — Nadto rynek był miejscem pomieszania, kłótni, kijobicia, oszustwa, kradzieży, i żadna uczciwa kobieta nie mogła się ważyć, by sama czynić zakupy, nie narażając się przy tym na niesłychane obelgi. Bo nie tylko lud przekupniów w pole wyciągał przeciw sobie samemu i przeciw całemu światu, ale przychodzili tu również ludzie umyślnie w tym celu, aby wywoływać niepokój i przy tym w mętnej wodzie łowić ryby podobnie jak np. zwerbowany ze wszystkich końców świata motłoch, który niegdyś tkwił w rejmentach<sup>57</sup>. Spójrz, miły kuzynie, jak to obecnie rynek przedstawia pociągający obraz przyzwoitości, pokoju i obyczajności. Wiem, że entuzjastyczni rygorysty, hiperpatriotyczni asceci żarliwie perorują<sup>58</sup> przeciw temu podwyższeniu zewnętrznego wyglądu masy ludowej, uważają bowiem, że wraz z tym oglądaniem obyczajów, zgładzi się również i zaginie ludowość w ogóle. Co do mnie, to sądzę, że lud, który traktuje zarówno swego jak obcego nie po prostaku albo z szyderczym lekceważeniem, ale z uprzejmością należytą, nie może przeto charakteru swego postradać.

Lud

Coraz bardziej zmniejszała się ciżba; coraz bardziej i bardziej pusty stawał się rynek. Handlarki warzyw składały swe kosze częściowo na przyprorowadzone ze sobą wózki, częściowo same się z nimi wlokły, wozy z mąką odjechały, ogrodniczki zgromadziły niewyprzedany towar, zapas kwiatów na wielkie taczki, czynniejszą stawała się policja, aby wszystko, a zwłaszcza szereg fur utrzymać w należytych porządku. Porządek byłby nienaruszony, gdyby się nie zdarzyło, że jakiś schizmatyczny syn chłopski tędy i owędy w poprzek placu odkrył swoją własną cieśninę Beringa i pokierował się wprost ku bramie kościoła niemieckiego.

— Ten rynek — mówił kuzyn — jest to i teraz wierny obraz wiecznie zmiennego życia. Ruchliwa działalność, potrzeba chwili ściąga masę ludzką w jeden punkt; w parę chwil znowu wszystko pustoszeje. Głosy, które w hałaśliwym wrzasku przelewają się jedne z drugimi — zamilkły i każde opuszczone miejsce głosi te okropne słowa: było! Trzeba korzystać z chwili.

Carpe diem, Przemijanie,  
Obraz świata, Czas

Uderzyła godzina pierwsza; markotny inwalida wszedł do gabinetu — a w jego wydłużonej twarzy czytałeś: mógłby pan wreszcie opuścić okno i zjeść obiad, bo przyniesione potrawy ostygają.

— A więc masz apetyt, kuzynie? — pytałem.

— O, mam! — odparł kuzyn z bolesnym uśmiechem — zobaczysz to zaraz.

Inwalida potoczył go na kółkach do pokoju. Przyniesione potrawy były to: talerz rosółu na mięsie, jajo na miękko, ugotowane w soli i pół białej bułki marymonckiej.

— Tylko trochę więcej — mówił kuzyn cicho i smętnie, ściskając moją rękę — troszyczka więcej, najmniejszy kawałek najslawniejszego mięsa powoduje mi niesłychane cierpienia, odbiera mi wszelką odwagę życia, ostatnią iskrę dobrego humoru, która jeszcze od czasu do czasu we mnie się zapala.

Wskazałem na papier, zawieszony nad łóżkiem, rzucając się kuzynowi na piersi i gorąco go całując.

— Tak, kuzynie — odrzekł mi głosem, który mnie przeniknął na wskroś i nappełnił rozdzierającą tęsknotą — tak kuzynie:

*Et si male nunc, non olim sic erit!*

Biedny kuzynie!

<sup>57</sup>rejment (daw.) — regiment. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>perorować (z łac. *perorare*) — rozwódzić się nad czymś, wykladać. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesci-fantastyczne-narozne-okno>

Tekst opracowany na podstawie: E. T. A. Hoffmann, Powieści fantastyczne, T. II, red. Jan Lorentowicz, oprac. Antoni Lange, nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Skł. gł. w Księgarni E. Wendego i S-ki, H. Altenberg, Warszawa [ca 1913]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Hanna Gąsowska, Marta Niedziałkowska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.